

**Był chyba początek listopada, gdy przeczytałam maila od Agnieszki - koordynatorki wolontariatu. Zapytała, czy chciałabym chodzić do jednej z rodzin. Co za pytanie! Oczywiście, że chciałam!**

Aga przesłała mi zatem numery telefonów do Renaty i Mariusza - rodziców Uli, podopiecznej naszego hospicjum. Dostałam również adres, kilka niezbędnych informacji o stanie Uli i... właściwie to wszystko. Po tygodniu sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Renaty. Umówiliśmy się na pierwszą wizytę.

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Od rana miałam zajęcia na uczelni i po nich szybciuśko biegłam na autobus - nie chciałam się spóźnić na umówione spotkanie. Jeszcze przesiadka na kolejny autobus... Stałam właśnie na przystanku czekając na 119 i poczułam strach. Zaczęłam się zastanawiać, co ja właściwie wiem o tych ludziach? Jacy są? Jak mnie przyjmą? Jakie mają oczekiwania? Czy je spełnię? I co ja właściwie mam tam robić?!

Wysiadłam na pętli autobusowej. Hmm... na mapie było jakoś w lewo... Na szczęście uprzejmy staruszek wytłumaczył mi drogę. Znalazłam odpowiedni numer budynku, jeszcze domofon, furtka, druga furtka. Drzwi. A w nich rozczochrany, patrzący na mnie „spod byka” mężczyzna. A zza jego pleców taka sama, rozczochrana, tyle, że mniejsza, blond główka. I wtedy właśnie cały stres zupełnie wyparował. Bo przecież osoby z takimi włosami nie mogą być złe! Od razu widać wrażliwe, artystyczne dusze! Jak się później okazało, pierwsze wrażenie było bardzo słuszne.

Prawie od razu przeszliśmy z Mariuszem na „ty”. Zostałam poczęstowana przepyszną kawą (uwielbiam, uwielbiam, uwielbiam - a ONI o tym wiedzą;) i poszłam przywitać się z Ulą. Była dużo mniejsza, niż ją sobie wyobrażałam. Taki mały szkrab z długimi nóżkami i rączkami. I wielkimi, pięknymi oczami, które od razu „rzucają się w oczy”. Podałam jej rękę na powitanie, którą ona mocno ścisnęła. Prawdopodobnie zupełnie bezwiednie, ale dodało mi to otuchy. Usiedliśmy z Mariuszem, który zaczął mi opowiadać o „przygodach” Uli. Dowiedziałam się, jak Ula przyszła na świat, jak mijają jej kolejne lata, spędzane często w szpitalach i na turnusach rehabilitacyjnych. Ula odżywia się przez gastrostomię, a oddycha dzięki kolejnej rurce w jej małym ciałku - tracheostomii. Jest naprawdę mała jak na swój wiek. Obecnie ma 7 lat, a wygląda na 4. Ma gęste włosy (to chyba po tacie) i oryginalną fryzurę (to chyba też rodzinne). Ula nie mówi, nie potrafi przetykać, nigdy też nie będzie biegać. Ma nawet problemy z siedzeniem czy obracaniem się. Z tego też powodu jest często noszona na rękach (tego jej akurat zazdroszczę!). Pamiętam, że w dniu mojej pierwszej wizyty również po raz pierwszy wzięłam Ulę na ręce. Już miałam właściwie wychodzić, gdy Mariusz poprosił, bym zaniósła ją do łóżeczka. Kładłam ją ostrożnie, uważając na te wszystkie rurki i rureczki, gdy Ula... tak bardzo mocno się do mnie przytuliła! Zamartam. Obserwowałam ją, a ona dalej się przytulała. Do tej pory nie wiem, czy miała świadomość tego, co robi, czy nie, ale tej chwili nigdy nie zapomnę. Od tamtej pory na zawsze zmieniło się moje postrzeganie wolontariatu hospicyjnego. Wiem już, że nie jest taki darmowy i bezinteresowny. Dostaję dużo więcej, niż się spodziewałam. Otrzymuję dziesięciokrotnie więcej, niż daję. Czasem jest mi z tym aż głupio.

To była moja pierwsza wizyta, a teraz? Bardzo lubię przychodzić do Uli. Najczęściej już od progu witają mnie trzy gromkie okrzyki: „cześć”! Jeden z nich należy do Mariusza, tatę Uli, a dwa pozostałe do Kuby i Marka - jej braci. Rzadziej słyszę głos Renaty, która dużo pracuje. Albo ma zajęcia w szkole albo wywiadówkę. Za to po powrocie z pracy zawsze tryska energią. Widać, że wszyscy oczekują jej powrotu z nie-

cierpliwością, szczególnie mały Marek. On ma chyba jakieś radary, bo zawsze wie, kiedy mama zaraz wejdzie do domu.

Szkoda tylko, że Ula nie może mi powiedzieć „cześć”. Choć chyba wszyscy, łącznie ze mną, wierzą, że kiedyś jej się to uda. Czasami Mariusz lubi sobie pożartować i „wysyła” Ulę po zakupy lub wywiesić pranie. Dobry nastrój go chyba nigdy nie opuszcza. Zawsze jest uśmiechnięty i wesoły. To taki typ super-taty. Z podziwem patrzę, jak opiekuje się Ulą. Karmi ją, inhaluje, odsysa, przewija, jednocześnie coś gotuje i pomaga Kubie



w lekcjach, Markowi odpowiada na tysiące pytań, a w międzyczasie jeszcze wyciąga to pranie, którego Ula nie rozwiesiła... Lubię patrzeć, jak Mariusz krząta się po domu. Dużo się wtedy uczę, szczególnie tego, że wszystko można robić z uśmiechem:) Optylizmem zarażają również chłopcy. Marek - bardzo ciekawy świata czterolatek, lubi o wszystko pytać i nie uznaje braku odpowiedzi. Dzięki temu, odkrywam czasami w sobie zakopane gdzieś szare komórki, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Marek nauczył mnie także, kim jest smerf (wyjaśniam: smerf to smerf. Wiedzieliście o tym?) oraz potwierdził życiową prawdę, że bałagan robi się sam (tylko sam nie chce się sprzątać). Zawsze mam mu również nadrobienie bajkowych zaległości (tytuł bajek, co z Markiem, nie obejrzałam w ciągu ostatnich 10 lat). A Kuba.... Ach Kuba... Albo raczej: Och Kuba!. Rzeczywiście ma wysoko rozwinięty urok osobisty i nie waha się go używać! To bardzo bystry chłopak, który bardzo nie lubi odrabiania lekcji. Ale jak na amanta przystało, potrafi z tej sytuacji pięknie wybrnąć. Wystarczy kilka TAAAKICH spojrzeń jego wielkich oczu i już siedzimy razem nad ćwiczeniami z polskiego, angielskiego, wyszywamy geometryczne wzory lub robimy konspekt z francuskiego, mimo, że nie znam w tym języku ani jednego słowa!

Z domu państwa Jędrusików wychodzę czasami później niż zamierzałam. To dlatego, że miło spędzone chwile szybko płyną. Żałuję, że nie mam więcej wolnego czasu i nie mogę częściej odwiedzać Uli. Ta mała, kochana istotka oddaje mi chyba połowę energii, której sama zużyć nie może, tak jak jej zdrowi rówieśnicy - na zabawę, bieganie, czy naukę. Do tego zarażający optymizm oraz uśmiech pozostałych członków rodziny sprawia, że mój własny akumulator pozostaje naładowany na maksa, co najmniej do następnego spotkania! Bardzo, bardzo Wam za to dziękuję!

*Irmina  
Wolontariuszka*